

MOJA I TWOJA BEZNADZIEJA

12 LIPCA 1997

Szum najpierw pojawia się we śnie. Woda przelewa się przez próg bezświadomości, podtapia wizję gęstego lasu pełnego dźwięków i kolorów, wpada przez uszy, wypełnia całą głowę i rozkleja powieki. Dłoń dziewczynki wysuwa się spod pierzyny i rusza w kierunku lampki. Przez krótką chwilę beznadziejnie wymachuje palcami w wilgotnym nocnym powietrzu, szukając pstryczka uruchamiającego światło, po czym wraca nad łóżko, by ścisnąć się w pięść, która wymaże z lewej powieki resztki snu i być może pozwoli ujrzeć coś w tej gęstej ciemności. Dziewczynka wzdycha, siada i z trudem dostrzega, że jej pokój się zmienił. Pachnie inaczej, meble zmieniły swoje miejsca, a podłoga hałasuje. Nagle dociera do niej, że nie jest tu sama. Mamusia śpi po drugiej stronie sieni. Dobrze słyszy jej sapanie, ten sam miarowy świst, co każdej nocy. W jej pokoju jest ktoś inny. Nie człowiek, ale raczej obecność, która wypełnia go, przeobraża i sprawia, że najbliższe miejsce na świecie staje się nagle obce i to uczucie jest równie straszne, jakby obudziła się nagle w cudzym ciele. A może to dalej jest sen? Za chwilę poczuje na ramieniu szorstką dłoń mamy, która wytrząśnie z jej głowy resztki strachu. Okrągła znajoma twarz zawiśnie nad nią niczym księżyc

w pełni i powie, że bredziła coś pod nosem, obieca, że wszystko będzie dobrze.

Drzwi otwierają się z hukiem. Mamusia wpada do pokoju, stawiając ciężkie kroki. Mokra koszula nocna oblepia jej grube uda. Usta ma otwarte, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Jej piersi unoszą się w górę i w dół. Szybko. Jakby biegła. A przecież ona nigdy nie biega. Nie może się męczyć. Doktor zabronił. Przez chwilę patrzą tak na siebie, dwie rozdziawione buzie i dwie pary szeroko otwartych oczu, które odnalazły się mimo ciemności. Nie pada żadne słowo, ale dziewczynka już wie, co się stało. Wie wszystko o tym deszczu, co lał na południu, o rzece, która podtopiła pola, o workach z piaskiem, które chłopci ładowali na przyczepy, i o tym wale, o którym mówił pan sołtys na spotkaniu w remizie, że na pewno wytrzyma. No to on jednak nie wytrzymał.

Mamusia dalej stoi jak wryta. Jakby zapomniała, po co tu weszła. Przewraca oczami i sapie. Szum nagle ustaje i przez sekundę robi się naprawdę cicho. Dziewczynka odsuwa kołdrę, a wilgotny chłód natychmiast chwyta ją za wszystkie palce u stóp. Chce być odważna i podejść do mamy, najbardziej na świecie pragnie teraz złapać ją za rękę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, obiecać jej, tak jak ona zawsze obiecuje, ale nie potrafi. Z sieni wydobywa się potworny ryk, od którego trzęsie się ziemia i stają na sztorc wszystkie włosy na rękach. Jej ciało sztywnieje. Z wnętrza ciemności rzyga woda. Wpada bez zaproszenia do pokoju, waląc drzwiami o framugę i prawie przewracając mamę. Dywan wstaje z podłogi i podnosi się do lotu. Meble zaczynają tańczyć wokół łóżka.

Mamusia krzyczy. Wydaje z siebie dźwięki jak dogorywające zwierzę. Odwraca się w stronę drzwi, schyla i nabiera

ręce pełne wody. Próbuje złapać ją w garść i wyrzucić z powrotem za próg. Macha i macha tymi rękoma, a do sieni wracają jedynie pojedyncze krople. Chwyta za drzwi, ale one ani drgną. Dziewczynka też zaczyna krzyczeć. Bo widzi, że matula zwariowała, i już nie wie, czy wszystko będzie dobrze. Może utopią się tu razem. Ona nie chce umierać. Tata jest już w ziemi od poprzedniej jesieni. Wraca do niej tylko w snach i wspomnieniach. Czasem spotykają się w lesie, czuje jego duże dłonie na swojej głowie, jak czochrają jej włosy, słyszy ciepły głos wypowiadający jej imię, zawsze z tą samą radością, i czuje kłującą brodę wbijającą jej się w policzek. Nigdy tego nie zносиła, ale ile by dała, żeby jeszcze raz ją poharatał tą szczeciną, dał buziaka w czoło i zabrał na spacer. Opowiedział o śladach, jakie zostawia zając, zaprowadził do nor lisów albo wniósł na barana na ambonę leśniczego, z której widać koniec lasu i pola, za którymi stoi ich dom. To był najszczęśliwszy dzień w jej życiu, ta ich wspólna wycieczka.

Ponad rykiem wody wybrzmiewa nowy dźwięk. Kobieta podnosi wzrok i widzi swoją córkę, która zaciska pościel w pięściach, nabiera powietrza i wydiera się co sił. Zastanawia się, jak tyle wrzasku mogło się zmieścić w tym drobnym ciele. Chwyta się tej myśli i ciągnie za nią, wracając na powierzchnię. Znowu jest w pokoju dziecka, w swoim własnym domu, który zalewa powódź. Słyszy, jak ściany trzeszczą, a chałupa chwieje się w posadach. Czuje zimno wpełzające po nogach pod koszulę i palący oddech, który rozrywa jej płuca. Na powrót staje się mamą i już wie, co ma najważniejszego do zrobienia. Podbiega do łóżka, chwyta córkę w ręce i przytula mocno. Mała wyciągnięta spod kołdry grzeje jak piecyk, pachnie snem. Schowana w znajomych ramionach natychmiast milknie i to uspokaja kobietę na tyle,

by znalazła siłę, aby odwrócić się i brocząc przez coraz wyższą wodę, na której unoszą się fragmenty jej dotychczasowego życia, ruszyć pewnie w kierunku wyjścia.

Drzwi już nie ma, podobnie jak całego ganku. We frontowej ścianie zieje wielka wyrwa, za którą rozciąga się jeszcze więcej obcej ciemności. Zniknęła skrzypiąca furтка, do której kobieta wracała dzisiaj dwa razy, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknęła tę cholerną kłódkę. Nie ma już drzewa przechylającego się przez płot, którego liście zasypywały jej grządki w ogródku. Chciała poprosić Waldka, żeby je wyciął, ale nie zdążyła i od pogrzebu ani razu o tym nie pomyślała, aż do dzisiaj. Płotu też nie ma. Ani drogi prowadzącej w dół, do sklepu. I nawet światła w domu Halinki pogasły. Nic z tego, co znała, nie istnieje. Wszystko jest w ciągłym ruchu i nieustannie się zmienia.

Kobieta drepcze, próbując wyczuć grunt. Opuchnięte nogi jeszcze pamiętają, gdzie powinny kończyć się schody, jak zawsze trafiają we właściwe miejsca. Trzy stopnie później stoi już po pas w lodowatej wodzie. W jej bok uderza sztacheta. Za plecami przepływa duży przedmiot, który mógłby być człowiekiem. Ona woli o tym nie myśleć. Zmrużone oczy błędzą, próbując wyłowić szczegóły z mroku. Znaleźć drogę do ocalenia, zanim będzie za późno. Przytula córkę mocniej do siebie i zaczyna wołać pomocy, ale jej głos jest jak ta kropla, co urwała się z ręki. Natychmiast ginie w oceanie potężniejszego dźwięku.

Nikt nie odpowiada. Z płuc ucieka ostatni oddech. Nogi uginają się pod nią. Gdyby Waldek tu był, wiedziałby, co zrobić. Zaraz i tak się z nim zobaczy. Ciężko jej tu samej na gospodarstwie. Renta licha, nogi pełne żylaków i ręce drętwieją.

Do pola już się nie nadaje. Po nocach tęskni. Płacze w pierza. A niech ją już zabiera do siebie.

– Wszystko będzie dobrze, mamusiu.

Głos córki po raz kolejny przywraca jej dopływ krwi do mózgu. Nie pozwala świadomości zgasnąć. Trzeba dalej walczyć. Nie dla siebie, ale dla niej. Musi stąd uciekać, nawet jeśli cały świat zaląa brudna woda. Bezsilność ściska ją za gardło, ale i tak odwraca się w kierunku chałupy. Spogląda na pochyły dach obity papą i osmolony komin, a później patrzy prosto w ziejącą otchłań. Chce wrócić do środka i wbiec po schodach na strych. Wie, że drabina leży przy drzwiach, właz jest przywiązany sznurem od snopowiązałki, a nóż znajdzie na desce w kuchni. Ale dom jest odmieniony, krzyczy na nią obcym głosem. Kobieta opiera nogę na schodku i natychmiast staje w miejscu, jakby ktoś położył jej rękę na ramieniu i zabronił się poruszyć.

Ściana przed nią pęka, odsłaniając wnętrze izby, dach łamie się, wydając bolesny jęk, i cała chałupa w sekundę idzie pod wodę, jak dziurawa łupina połknięta przez sztorm. Kobieta osuwa się ze stopnia, zmieciona falą, do rozdzielonych ust wpada gorzka woda, ale natychmiast wychyla głowę nad powierzchnię. Poklepuje kaszlącą córkę po plecach i długo patrzy przed siebie bez zrozumienia, przesywając na wylot wzrokiem miejsce, w którym spędziła pół życia, a teraz nie ma tam już nic poza zimnem, nocą, wrzeszczącą powodzią i pojedynczym punktem, który zapala się i gaśnie.

W oddali widać migoczące światło latarki.

* * *

Pierwsze promienie słońca odbijają się od krawędzi fal i wpadają przez uchylone okno prosto do oczu, powodując

zwężenie obu źrenic. Ale ona nawet nie mruga. Jak zahipnotyzowana wpatruje się w brązową wodę leniwie płynącą ulicami jej miasta. Jest coś niewymownie pięknego w spokoju tej chwili. Zniknęły wszystkie warczące auta upchnięte jedno za drugim w korku sięgającym samego Rynku. Nie ma oślizgłych ludzi na chodnikach parujących w promieniach lipcowego słońca, powoli stapiających się w jedną zapoconą masę sunącą donikąd. Z placów zabaw wymiotło wiecznie brudną, rozwrzeszczaną dzieciarnię, której boi się i nienawidzi z wzajemnością. Woda przykryła cały ten syf, w którym przyszło jej żyć, a szum wytłumił nieludzki hałas. Po raz pierwszy od dawna czuje się spokojna. Kompletna.

Z bolesną rozkoszą pozwala słońcu wypalić ten obraz na swoich siatkówkach, a gdy uznaje, że już jej wystarczy, powoli przymyka oczy i wsłuchuje się w monotonną opowieść powodzi. W kojącej melodii wybrzmiewają pojedyncze fałszywe nuty. Z oddali dobiega brzęk szkła. Nerwowe szepty. Dwie dudniące pary butów biegające w górę i w dół opuszczonej klatki schodowej. Kilka kopniaków w drzwi i zgrzyt rozpadającego się zamka. Długie lata spędzone na osiedlu nauczyły ją, że ludzie mieszkający tu nie cofną się przed niczym. Być może to prawda o ludziach w ogóle. Nie wie, nie poznała ich zbyt wielu. Nigdy stąd nie wyjeżdżała, bo i po co. Nie żałuje tego, mimo że jest już stara. Całe życie wypatrywała przez to okno. Widziała i słyszała wszystko, co tu się wydarzyło i przez to czuje się, jakby żyła od stuleci.

Zza bloku wyływa drewniana łódka wypakowana górą fantów. Przechyliła się na boki, próbując odnaleźć właściwy rytm. Z samego kształtu szczelnie przykrytego plandeką ciężko wywnioskować, co dokładnie zostało uratowane przed wielką falą, ale muszą to być wyjątkowo drogocenne

przedmioty, skoro chłopcy wiosłują z taką energią. To wprost niespotykane u osób w ich wieku. Te подростки przeważnie siedzą albo leżą na murkach i ławkach, podnosząc swoje cielska tylko wtedy, kiedy muszą oddać mocz na ścianę bloku i zaznaczyć swój teren. Od psów różnią się właściwie tylko tym, że stoją na dwóch nogach. Nieraz rzucali w nią butelkami i spluwali na jej widok.

Jeden z mężczyzn przestaje wiosłować. Łapie głęboki oddech, przesuwa dłoń po głowie, strącając ze skóry krople potu, wkłada w usta papierosa i podnosi wzrok, spoglądając prosto na nią, jakby zwabiła go swoim czujnym spojrzeniem. Przez dłuższą chwilę tkwią tak w tym dziwnym, niemym porozumieniu. Widzieli się nieraz na ulicach. Czasem wcielając się w role przyjaciół, a czasem zajadłych wrogów. Przeważnie mijali się obojętnie, goniąc dalej za swoimi sprawami, biegając jak po sznurku od supła do supła przez życie, które przyszło im wieść. Ale żadne z nich nie ma wątpliwości, że teraz widzą się po raz ostatni. Dlatego mężczyzna nie odzywa się do swojego towarzysza ani tym bardziej nie zwraca łodzi w jej stronę. Bucha chmurą śmierdzącego dymu, ponownie łapie za wiosła i przyspiesza, choć płyną na przekór prądom.

Powódź sprawiła, że hałas zniknął, ale wszystkie brudy tego miasta wypłynęły z piwnic, serc i spod paznokci. Każdy może im się teraz dokładnie przypatrzeć, ale w mętnej wodzie najprędzej dostrzeże własne odbicie. I ona też zaczyna myśleć o sobie. O tym, że została tu zupełnie sama. Opuścili ją wszyscy ludzie, których uważała za bliskich, więc tym bardziej nie ma się czego spodziewać po parze drobnych złodziejasków. Jedyne, co pamięta, to trzaśnięcie drzwiami tuż nad ranem, po którym zapanowała wieczna cisza. Może to przez jej wiek. A może po prostu o niej zapomnieli. Całe

życie starała się wszystkim schodzić z drogi. Nie narzucać. Pewnie dlatego stała się elementem wystroju wnętrza, jak kwiat czy szafka na buty, o której pamięta się tylko wtedy, gdy trzeba zetrzeć z niej kurz.

Woda pluska tuż pod blaszonym parapetem. Jeszcze chwila i przeleje się do środka. Ona też nie zamierza tu zostawać i umierać. Mogłaby uciekać w górę bloku, piętro po piętrze, aż na sam dach, ale co, jeśli blok też przykryje powódź? Lepiej pozostać na powierzchni. Znaleźć własną łódź i tak jak cała reszta sąsiadów odpłynąć, byle dalej stąd.

Jak na zawołanie na horyzoncie pojawia się jej transport. Ma chromowane klamki i czarny lakier, który błyszczy w promieniach wschodzącego słońca. Leniwie buja się w rytmie nadawanym przez fale powodzi. Jest idealny. Zabierze ją prosto w nowe życie. Choć nienawidzi wody bardziej niż ktokolwiek, zbiera w sobie wszystkie siły i w odpowiednim momencie zeskakuje z parapetu, lądując dokładnie tam, gdzie trzeba. A później rusza z prądem prosto do centrum odprowadzana przez spojrzenia ludzi. I w każdym z nich dostrzega to samo paraliżujące przerażenie, które zatrzymuje serce i odbiera mowę. A ona upaja się nim, unosi na tych emocjach jak na spiętrzonej fali, coraz wyżej i wyżej. Niech patrzą.

Czarny kot płynie na trumnie przez ulice Wrocławia.

* * *

Wiatr dmucha z zachodu. Jest ciepły i przerażający. Ciągnie za sobą wilgotną chmurę, która dusi całą świeżość lipcowego poranka i osiada na niewyspanych twarzach. Miasto pachnie obco. Wygląda obco. Mówi w nieznanym języku, głosem pełnym żalu i gniewu. Mężczyzna zaciska dłonie na biało-

-niebieskiej barierce mostu. Złuszczonej farba jest równie szorstka w dotyku jak jego skóra. Jest ubrany w brązowy garnitur. Śnieżnobiały kołnierzyk koszuli szczelnie oplata jego szyję, która przypomina pień usychającego drzewa. Mimo że blade słońce wspina się coraz wyżej, a temperatura za chwilę przekroczy dwadzieścia dwa stopnie, on ani myśli rozsypywać windsora, nad którym pracował przez cały kwadrans. Zbyt dobrze wyszedł. Poza tym już od dawna nie czuje ciepła.

Poprzedniej nocy woda zabrała mu wszystko, co miał. Nie żeby było tego szczególnie dużo. Dwa pokoje na parterze w bloku wypełnione zakurzonymi wspomnieniami i zatęchłą ciszą. Na komodzie zdjęcia z Marysią i synami, na ścianie reprodukcja obrazu *Piłsudski na Kasztance* pędzla jakiegoś bazarowego kopisty, w przedpokoju stara koza z zerwanym łańcuchem, na której ostatni raz jechał, gdy w Polsce obowiązywał stan wojenny, a od piętnastu lat tylko zahaczał o jej kierownicę. W salonie biblioteczka pełna wierszy, po bokach podwieszane pod sufitem dwie paprocie sięgające grubego dywanu, który nigdy nie widział trzepaka, lampowy telewizor ukoronowany powyginaną anteną, wydep-tane laczki z napisem „Zakopane”, drobne w starych polskich złotych wciśnięte pomiędzy siedzisko i oparcie fotela, brudne gary w kuchni, których nie zdążył pozmywać i sterty „Nowej Trybuny Opolskiej” ułożonej w kolejności chronologicznej, róg do rogu, przechodzące od śnieżnych szczytów po pożółconą biel na spodzie każdej kolumny. Wszystko to pochłonięła fala.

A on patrzył. Najpierw z perspektywy swojego fotela, później spomiędzy głów sąsiadów, a na końcu z łódki ratowniczej oddalającej się w noc. Oglądał z dystansu, jak

całe jego życie stawało się coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie nie zostało już nic. Od dwunastu godzin nie odezwał się do nikogo ani słowem. Tylko kiwał głową, gdy lekarze pytali, czy wszystko z nim w porządku, i gdy sąsiedzi poklepywali po plecach, mówiąc, że Bóg ma go w swojej opiece i się ulituje nad jego losem. Bał się, że się poznają. Że ktoś dostrzeże to, co wybrzmiewało w jego sercu tak głośno, a co on próbował wepchnąć z powrotem do środka, schować pod powiekami i przysypać grubą warstwą ciszy. A teraz stoi na moście, patrzy na rzekę, z której wystają jedynie korony drzew, tę samą, która wpadła do jego domu bez zaproszenia, i po raz pierwszy może się do niej uśmiechnąć.

Oczy mężczyzny otwierają się szerzej. Są koloru nieba nad biegunem. Mimo że widziały obie wojny, jarzący się w nich głęboki i lodowaty błękit nie przygasł ani o jeden ton. Mężczyzna przechyla się przez barierkę i szuka swojego odbicia w brudnych falach. Czarny łeb wypalonej zapalki wystaje ponad elegancki, skrojony na miarę garnitur. Najbardziej jest mu przykro, że będzie musiał go utopić.

Gdy w trzydziestym dziewiątym szedł bić szwabów, w koszarach zostawił po sobie idealnie zaścielone łóżko, na którym położył swoje ubrania złożone w kostkę. Pod kołnierz koszuli wcisnął kopertę z listem do Marysi, w którym bardzo mocno prosił ją, żeby postarała się o nim jak najszybciej zapomnieć. Gdy wrócił z frontu, list spalił, a rzeczy włożył na siebie, przykrywając blizny, które pozostawiła na nim wojna, i znów wyglądał, jakby nigdy nie wyjechał. Zawsze starał się nie zostawiać po sobie nieporządku; ani w miejscach, ani w głowach, ani w sercach.

Za plecami mężczyzny przemyka bordowy polonez cały wypełniony ludźmi i przedmiotami. Nikt nie zwraca uwagi

na samotnego starca stojącego na moście Piastowskim o szóstej rano. Ale on wie, że lada chwila miasto ożyje. Wypełni się strażakami, policjantami i całą resztą ludzi wracających, by sprawdzić, czy jeszcze mają do czego wracać. Będzie wiele płaczu, modlitw i złorzeczenia, którego on nie chce słuchać, dlatego musi się spieszyć. Nażył się już wystarczająco. Śmierć oswoił jeszcze na wojnie, gdy seria ze schmeissera zaświstała mu koło ucha i przecięła na pół kapitana korpusu. Drugi raz umarł, gdy urodzili mu się synowie. Poświęcił im się tak mocno, że sam zniknął i przypomniał sobie o tym, że jeszcze chodzi po tym łożu padole, dopiero kiedy wsadzał ich w samolot do Ameryki. Wtedy widzieli się po raz ostatni. Tego zimowego wieczora wracał do domu na wysłużonej kozie i płakał nie z tęsknoty, ale dlatego, że nie wiedział, co ma ze sobą dalej począć.

Kolejne dni zlały się z nocami w szary bełt, który zdawał się płynąć w nieskończoność. Gdy nie mógł zasnąć, długo w noc wpatrywał się w drzwi, jakby miała w nich stanąć sama smukła i blada śmierć, i oznajmić, że to już jego czas. Ale ona nigdy nie przyszła. Przyczłapały za to dwie smutne kurwy zwane starość i samotność. Rozpięły swoje obdarte śmierzące szmaty i rozsiały się w jego salonie, z którego nigdy nie wychodził, gotowały w jego kuchni i korzystały z jego łazienki. Przytępiły wzrok i słuch, zabrały instynkt, który pozwolił mu przetrwać długich osiemdziesiąt sześć lat. I on już nie mógł dłużej tego wytrzymać. Ale nie miał siły, by je przepędzić. Więc trwał. Do wczoraj.

Mężczyzna zarzuca nogę na balustradę mostu, a jego wyprasowane w kant spodnie pękają w kroku, wydając z siebie rozpaczliwy dźwięk. To już ostatnie upokorzenie, jakiego doświadczy, tego jest pewien. Powódź zabrała mu wszystko,

więc nie ma już nic do stracenia. Odzyskał kontrolę nad ciałem i nad swoim życiem. Przechyla się na zewnątrz i przetrzuca z najwyższym trudem drugą nogę. Kolano trzaska jak nadepnięta gałąź, ale on nie zwraca na to uwagi. Pięty wypastowanych mokasyków jeszcze trzymają się krawędzi mostu, ale cała reszta już jest po właściwej stronie.

– To masz jeszcze mnie do kompletu – mówi na głos, bo każdy powinien mieć swoje ostatnie słowo, po czym puszcza barierkę i wpada w brązowe odmęty.

Ciało leci prosto do dna. Prąd wciąga go pod most i obraca kilkakrotnie, tak że już sam nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Wciąż walczy ze sobą i nie wypuszcza powietrza z płuc, ale zderzenie z filarem pozbawia go tchu. Woda wlewa się do ust, paląc przełyk, jakby wdarł się tam ogień. Starzec próbuje krzyczeć. Wszystkie mięśnie, także te, których tak dawno nie używał, napinają się, walcząc o jeszcze jedną szansę, ale jest zbyt głęboko, by miało to jakikolwiek sens. Skurcz paraliżuje każdą komórkę. Plecy wyginają się w łuk. Palce zaciskają. Pierś rozrywa fala gorąca. Czy to już? Czy to już?

Otwieram oczy i budzę się w kolejnym koszmarze. Psia morda wisi centymetr nad moją twarzą i zalewa mnie śliną wypływającą spomiędzy zaciśniętych kłów. Wielki czarny potwór stoi na moim łóżku, brudzi mokrymi łapami pościel i przygląda mi się z uwagą. Jego oddech śmierdzi mięsem i błotem. Za każdym razem, gdy wypuszcza powietrze, z głębi jego gardła dochodzi bulgoczący warkot. Jest coraz głośniejszy i sprawia, że cały drzę, choć bardzo staram się nie poruszyć nawet o milimetr, nie oddychać i nie mrugać. Nawet nie myśleć. On jest cierpliwy. Czeką, wydłużając moje

męki, ale obaj dobrze wiemy, jak to się skończy. Zęby wejdą w moją szyję jak w masło, a ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszę, będzie chrupnięcie mojej własnej krtani.